

BRECHT **uświetnia jubileusz**

(Korespondencja własna)

Przybysz z innego miasta spogląda bez szczególnego zachwytu, a często nawet całkiem zdegustowany — na potężne gmazysko teatru krakowskiego przy placu Św. Duży. Zarówno elewacja, jak i wnętrza odznaczają się takim, konwencjonalnym przepychem w stylu późnej secesji. Ten i ów spośród krakowian doszukuje się pokrewieństwa z wiedeńskim Burgtheatrem, z paryską Opérą...

„Odbierzmy gorzkość słowom naszym”, bo przecież krakowianie, a z nimi liczne rzesze miłośników teatru z całej Polski — mocno kochają Teatr im. Juliusza Słowackiego. I nie kieruje nimi jakiś snobizm, lecz przywiązanie do wielkiej sztuki. Jaka rozkwitała w murach tego imponująco-nieładnego budynku.

Warto przypomnieć kilka „kamieni milowych” z historii tego teatru, który właśnie obchodził 60-lecie swego istnienia. Już sama lista dyrektorów, ludzi upamiętnionych na zawsze w dziejach kultury polskiej, daje pewne pojęcie o ambicjach i poziomie krakowskiej sceny. Wymieńmy niektórych z nich: Ta deusz Pawlikowski (1893—1899 i 1913—1915), Józef Kotarbiński, Solski, Lucjan Rydel, Grzymała-Siedlecki, Teofil Trzciński, Juliusz Osterwa, Karol Frycz... Tutaj, po raz pierwszy wprowadzono na deskę sceniczną niektóre dramaty naszych wielkich romantyków: „Kordiana” i „Złota czaśka” — Słowackiego, „Nieboską komedię” — Krasińskiego, utwory Kasprzowicza, Rydla, Przybyszewskiego, Zapolskiej, Rostworowskiego, Morstina, wreszcie liczne dramaty Wyspiańskiego z „Weselem” na czele, przy czym trzeba nadmienić, że sam poeta współuczestniczył w opracowywaniu ich kształtu scenicznego.

Teatr przyswajał polskiej publiczności najwybitniejszych autorów obcych, na przykład całą plejadę wielkich symbolistów skandynawskich, jak Ibsen czy Heijermans. Już po wojnie odbyła się tu prapremiera „Niemców” — Kruczkowskiego, zjawili się w oryginalnej, bogatej oprawie scenicznej dawno, bądź wcale nie grane u nas sztuki Lope de Vega, Tołstoja, Kleista, z polskich pisarzy — Naraymskiego, Brandstaedtera itd. A któż by potrafił wymienić wszystkie znakomitości aktorskie, jakie przewinęły się przez Kraków w ciągu 60 lat?... Siemaszkowa, Trapszo, Przybyłko — Potocka, Solski, Kamiński, Knake-Zawadzki, Zelwerowicz, dygnia Leszczyńskich, Jaracz, Osterwa i wielu, wielu równie wspaniałych. Ilu spośród nich tu debiutowało i zdobywało pierwsze szlify aktorskie? Samych jubileuszów, które są przecież specjalnością Krakowa, zorganizował teatr Słowackiego co najmniej dwa tuziny.

Znam człowieka, spoza kręgu ludzi teatru, który jeździł pilnie niemal na każdą premierę krakowską. Jest to malarz: interesują go i wprawiają w podziw znakomite wizje plastyczne scenografów krakowskich, takich mistrzów, jak Karol Frycz, Andrzej Pronaszko czy Andrzej Stopka.

W okresie dni jubileuszowych teatr wystawił kolejno „Fantazję”, „Zemstę” i „Kaukaskie koło kredowe” Bertolda Brechta. Znowu wypada podkreślić pionierstwo krakowskich artystów: jako pierwszy prezentują oni — w krajowym wydaniu — dramaturgię Brechta naszemu widzowi. Przedsięwzięcie to nie-

zmiernie trudne, zważywszy, że sztuki wybitnego pisarza niemieckiego daleko odbiegają od ogólnie przyjętych norm.

„Poeta w czapce”, jak nazywają Brechta, w odróżnieniu od mieszczańskich poetów w kapeluszach, każdy swój utwór buduje na pewnej wyrażonej tezie politycznej, wszelako zmierzając do celu, do pointy bardzo różnymi drogami, posługując się niezmiennie bogatą paletą środków wyrazu artystycznego. W zasadzie Brecht opiera się na wzorach sztuki plebejskiej, sięgając do starych pokładów ludowej klechdy i baśni. Czyni to w zamiarze u przystępnienia sensu tych sztuk jak najszerzszym rzeszom; z tego też założenia wynika porzucenie zwartej formy dramatycznej na rzecz luźno powiązanych z sobą obrazów epickich.

Rozmaite konwencje historyczne i artystyczne krzyżują się z sobą w teatrze Brechta. Np. osią tematyczną „Kaukaskie koło kredowe” jest stare podanie chińskie, natomiast sama akcja wskazuje, iż rzecz dzieje się w górach Kaukazu. Postaci występujące w tych samych odsłonach traktowane są przez autora: Jedne ściśle realistycznie, inne zaś — jako umowne figury — symbole. Sama fabuła, a raczej rozbudowana, piękna zresztą anegdota ludowa, wsparta jest narratorem, chórem, poza tym zamknięta jest współczesną zgola klamrą (prolog, epilog), co przybliża jej sens i wygłos naszym czasom.

Brecht pozostawia reżyserowi i inscenizatorowi ogromny margines twórczy, większy niż u jakiegokolwiek innego dramaturga. W Krakowie reżyser Irena Babel i scenograf Andrzej Stopka wykorzystali tę możliwość śmiało, w sposób oryginalny, zachowując jednocześnie całkowitą wierność idei przewodniej sztuki.

Na tle (bez przenośni) znakomitej, urzekającej swym surowym pięknem dekoracji Stopki — zespół aktorski zdobył się na wielki wysiłek twórczy i trudno tu byłoby chyba wymienić jakąś wadliwie obsadzoną rolę.

W szeregu innych, starannie zrealizowanych sztuk, „Kaukaskie koło kredowe” stało się akcentem. uświetniającym jubileusz zasłużonego teatru.

STEFAN RYMARZ



Pomnik Adama Mickiewicza który stał w Poznaniu przy kościele Św. Marcina od roku 1859—1904, a na dziedzińcu gmachu Tow. Przyjaciół Nauk od roku 1904 — 1940, zburzony przez hitlerowców.

Z TEKI CHOPINOWSKIEJ FOTOGRAFIKA MAKSYMILIANA MYSZKOWSKIEGO



Jeden z czołowych fotografików w Polsce, znany w Poznaniu — Maksymilian Myszkowski, jako rozmówcy w muzyce Chopina, oddał swego czasu kompozytorowi niezwykle hołd. Znalazłszy odpowiedni model, dokonawszy zabiegów charakterystycznych, przygotował dość liczny cykl artystycznych zdjęć. Niektóre z nich uderzają „malarzkością”, jakąś zwiewnością muzyczną. Widz ulega złudzeniu, że za chwilę rozlegną się miękkie tony nokturnu... Oczywiście, wśród zakończonej w 1949 roku pracy znajdują się fotografie trące — bez obrazu autora — mayską formalizmem. Ogromna większość jednak operuje piękną poetyką metaforą, wprowadza nas w świat obrazów, jakie tak się w każdym razie nam zdaje — wywołują właśnie utwory Fryderyka Chopina. Korzystając z okazji trwania konkursu pianistycznego w Warszawie przypomniemy kilka najlepszych fotosów. Dziś reprodukuje pierwszy z nich. Nosi on tytuł: „Nocturn”.

POLEMIKI * POLEMIKI * POLEMIKI * POLEMIKI **W sprawie „wielce żalostnej historii”**

SZANOWNA REDAKCJO!

W numerze 38 „Głosu Wielkopolskiego (13/14 lutego 1955 roku) ukazał się artykuł pod tytułem „Historia wielce żalostna”, w którym autor przyznaje się, że „para się historią” — z czego wynika, że domaga się od czytelnika wiary w prawdziwość podanych przez niego faktów historycznych.

Ponieważ autor wstępnym bojem uderza w Towarzystwo Miłośników Miasta Poznania, przeto jako prezes tego Towarzystwa czuję się w obowiązku dania odpowiedzi, bynajmniej nie po to, by z autorem polemizować, lecz by ściśle, obiektywnie wyjaśnić niektóre omyłki i niedomówienia, które może nie z jego winy, wkładły się do jego „żałostnej historii” i mogą w błąd wprowadzić czytelnika. Co więcej, ponieważ autor powołuje się na różne notatki z gazet dawnych, uważając je widocznie za dokumenty historyczne, może się zdarzyć, że za jakieś 50 lub 100 lat i jego artykuł będzie przez przyszłych czytelników traktowany jako dokument historyczny.

A temu należy zapobiec.

„Stał sobie” pomnik Mickiewicza — pisze autor. Dotychczas chyba wszyscy byliśmy przekonani, że ten pomnik nie „stał sobie”, lecz postawiony był ku chwale największego naszego wieszca i na pomyślny duchowy społeczeństwa naszego.

Wapien — ale jaki?

Owe „kilkaset” talarów, jak pisze słusznie autor, gdyż było ich dokładnie 562, pozostałości po opłaceniu kosztów nabożeństwa żalobnego ze składki zebranej w czasie tego nabożeństwa, nie starczyło na pomnik, choćby z kamienia wapiennego, lecz poddało myśl postawienia pomnika, za czym posypały się składki.

Autor mówi z przekąsem o kamieniu wapiennym. Widocznie nie będąc plastykiem, nie wie, że istnieje kamienie wapienne rozmaite, dość podłe i bardzo szlachetne, jak na przykład różne marmury. Otóż kamień, z którego Oleszczyński wykuli posąg Mickiewicza, tak zwany conflant, pochodzi z tych samych kamieniołomów, z których brane były kamienie do ozdób Luwru i wszystkich innych monumentów paryskich. Mając delikatne ziarno, daje się on wykończyć niemal tak samo, jak marmur. Wystawiony na powietrze twardnieje z czasem, wytrzymuje słońce i mrozy. Wiadomo, że mamy z listu Oleszczyńskiego do Komitetu Poznańskiego, a potwierdza ją list Kazimierza Błocińskiego, znawcy sztuki, przyjaciela Oleszczyńskiego. Pisze on, że kamień conflant jest wybornym i niepożytnym materiałem, o czym świadczy ornamentacja wszystkich najstarszych pomników paryskich, a mianowicie Notre Dame, kościoła Saint Denis, a nawet wieży Saint Jacques la Boucherie i, starej jak świat, Abbaye de Clugny.

Autor „żałostnej historii” powołuje się na notatkę z „Dziennika Poznańskiego” z r. 1904, pisaną nie wiadomo przez kogo,

Redakcja naszego pisma otrzymała od Towarzystwa Miłośników Miasta Poznania w odpowiedzi na zamieszczony niedawno artykuł red. Floriana Miedzińskiego replikę, którą bez zasadniczych skrótów drukujemy. W zakończeniu, jak to jest w zwyczaju, udzielamy głosu zaatakowanemu — REDAKCJA.

że „byłby pomnik z czasem uległ zupełnemu rozkładowi”.

Pisał sam Oleszczyński

Ktokolwiek to był, napisał jak wiedział. Jeżeli żył jeszcze czterdzieści lat dłużej, mógł się przekonać, że tenże pomnik Mickiewicza dłuta Oleszczyńskiego, przeniesiony w roku 1904 na dziedziniec gmachu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, stał tam aż go hitlerowcy zniszczyli. Posiadamy fotografie tego pomnika, które świadczą, że był doskonale zachowany, tak samo jak jego odlew brązowy.

Widocznie w Komitecie Budowy Pomnika przed blisko 100 laty byli również znawcy różnego autoramentu, skoro Oleszczyński w jeszcze jednym liście musiał ich uspokajać: „Dziwna rzecz, iż między naszymi są tacy, co sobie lekceważą statuty kamienne, jak gdyby wartość dzieła zależała od tańszego lub droższego materiału. Blok, w którym Mickiewicz się robi, równa się niemal marmurowi tak pod względem twardości, jak i delikatności ziarna, wiele nawet osób bierze go za marmur”.

Tyle Oleszczyński. A kim był Oleszczyński, czy był znawcą i artystą? Nie potrafię się do znawstwa i nie umiem osądzić. Tyle wiem, że wówczas, gdy kuł posąg Mickiewicza, dwie jego figury zdobyły już pałac Luwru, a przecież był w Paryżu cudzoziemcem.

Na temat przyjęcia w Bazarze

Sławny pisarz, przyjaciel i kolega Mickiewicza, Michelet, po zwiędzeniu pracowni Oleszczyńskiego, do Aleksandra Chodźki napisał słowa, które w tłumaczeniu brzmią: „Nagły wyjazd nie pozwalał mi uściśnić Pańskiej dłoni i wyrazić Mu całej przyjemności, jaką mi sprawił Mickiewicz Waszego znakomitego (w oryginale: excellent) artysty. Rzecz to pełna świeżości i natchnienia — z zachwytem widziałem dzieło tak nam drogie i tak nam dobrze wykonane przez Polaka”.

Z tego wszystkiego wynika, że ci, którzy w dniu odsłonięcia (dokładnie w dwa dni po odsłonięciu — przypisek mój) pomnika „urządzili nawet ucztę w Bazarze na cześć artysty-rzeźbiarza, ale o utrwaleniu jego dzieła w brązie nie pomyśleli”, nie postąpili lekceważąco dla kamienia conflant. A dlaczego urządzili tę ucztę na cześć artysty? Z dwóch przyczyn, po pierwsze: Oleszczyński był nie tylko wybitnym rzeźbiarzem, ale i obywatel ofiarnym, wykonał bowiem, nie chcąc „z pracy narodowej ciągnąć zysków”, pomnik z kamienia conflant, nad którym pracował półtora roku za skromną kwotę 4 tysięcy franków, które nie wiele przenosiły koszty własne.

Czyż nie był wart bodaj ucztę? Ale była i druga przyczyna jeszcze ważniejsza: odsłonięcie pomnika nastąpiło pośród ciszy i głębokiego milczenia. Piszac o tym „Dziennik Poznański” nie potrzebował tłumaczyć, dlaczego nie było przemówień. Każdy zrozumiał i każdy wiedział, że ta uczta w Bazarze, wydana dla uczczenia artysty, była pretekstem wobec władz pruskich i że była manifestacją narodową w zamkniętym gronie, a więc niedostępna dla policji pruskiej. Nie wiem, czy ta uroczystość narodowa zasłużyła na wulgaryzacji, jaka jej przypadła w udziale.

Słowa, brąz i notatka

A dalej „paryżanie twierdzą”, że ich miasto najlepiej znałaby obcy? No, mogą sobie na to powiedzenie pozwolić! Poznajemy się skromniejsi, nie mają do obcych podobnej pretensji. Choć co prawda ów „nieznany” informator autora „żałostnej historii” wyjątkowo dobrze wiedział o wszystkich szczegółach odtworzenia pomnika, gdyż po ostatnich słowach: „wywiązał się ze swego zadania nader zaszczytnie” czytamy w artykule „przybysza” następujące zdanie: „Zatrzymał (ściślej: Marcinkowski), powodowany pietyzmem, postać samą wieszca we dług pierwotnego wzoru, dłuta Oleszczyńskiego, zamieniając tylko figurę piaskową na spiżową”. Nie rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego autor „żałostnej historii” to najważniejsze w danej sprawie zdanie — opuścił?

Czyżby przeoczył? Jeżeli tak — to szkoda, bo byłby się dowiedział od „przybysza” całej prawdy, w którą „nie wierzy”!

Od autora

Tak długa odpowiedź wymagałaby, na pierwszy rzut oka, równie długiej repliki. Nie ma jednak właściwie potrzeby! A szkoda. Nie zważając nawet na fakt, że na ironię odpowiedziano w tonie niezawsze kurtuazyjnym, chętnie podjąłbym — i chyba nie tylko ja — dyskusję nad sprawą, która ostatecznie powinna pasjonować opinię poznańską.

Niestety, ob. Kaczmarek polemizuje raczej z ludźmi sprzed pół wieku, którzy — zupełnie słusznie — byli zdania, że dzieło Marcinkowskiego było nowym pomnikiem. Nie zmienia tego fakt, iż rzeźbiarz zachował formę Oleszczyńskiego, czego nie zamierzam, a co mi podsunął prezes Towarzystwa Miłośników Poznania. Nikt chyba nie będzie twierdził, że na przykład najbardziej nawet dokładna kopia „Grunwaldu”, wykonana przez innego malarza, to będzie również... Matejko.

Wszystko inne, to uboczne detale. Ze zrozumiałą ostrożnością obchodzi natomiast ob. Kaczmarek dwie sprawy: 1. W jaki sposób „odtworzyć” pomnik Oleszczyńskiego, w dodatku z fotografii, kiedy był tu już pomnik dłuta Marcinkowskiego? Podobno „odtworzyć” nawet w... powiększeniu! — 2. Rzekomego „zaangażowania” opinii. Dodałbym: również i Tow. Miłośników, którzy obudzili się, niestety, dopiero razem z innymi, choć od r. 1948 minęło kilka lat...

Przy pominięciu tych spraw nie uratuje całej historii ani lezka okoliczności, ani też dalsze brązowanie. Czyni ją co najwyżej jeszcze bardziej żalostną.

FLORIAN MIEDZIŃSKI

Pisze autor: „Marcinkowski nie był rzemieślnikiem, lecz artystą o własnej indywidualności”, święta prawda! Ale właśnie dlatego stać go było na głęboką admirację dla wielkiego dzieła innego artysty, dawno zmarłego, i na złożenie hołdu jego pamięci przez wykonanie brązowego odlewów według jego rzeźby! Vivant sequentes! Właśnie te szlachetne powściągliwość artysty pięknie podkreślił ów nieznany „przybysz”. Szkoda, szkoda, że to ważne zdanie przeoczono!

Ze ów informator nie wymienił nazwiska Plewkiewicza, widocznie Plewkievicz sobie tego nie życzył. A przecież jego nazwisko, jako zasłużonego ofiarodawcy, znane było Poznańowi bez rozgłosu w prasie i do dziś pamięć jego żyje.

Niech świadczą świadkowie

Dalej, architekt Roger Sławski, znany nie tylko „wówczas”, ale i dzisiaj, serdeczny przyjaciel Marcinkowskiego, doskonale pamięta, jak to było, może autorowi udzielić wyjaśnienia, jeżeli zechce po tak niefortunnym wzmieszeniu jego nazwiska w „żałostną historię”.

A może wyjaśnienie udzielił rodzina Marcinkowskiego, która po zmarłym zachowała album z fotografiami wszystkich jego prac. Wśród nich nie ma fotografii pomnika Mickiewicza, bo jej tam Marcinkowski, nawskroś dżentelmen i ucziwy artysta, nie umieścił. Państwo ci mieszkają w Poznaniu, a są bardzo uprzejmi. Warto ich odszukać i odbyć do nich pielgrzymkę! Trudno, skoro się pisze historię, żadnego dostępnego dokumentu neglżować nie wolno! Tylko — jest różnica między historią a historyjkami.

Skoro się zbiera historyjki zamiast przesłanek dokumentarnych, może się istotnie złożyć z tego „historia wielce żalostna”.

IGNACY KACZMAREK
prezes Tow. Miłośników
Miasta Poznania.

MNIEJ OD WINDZIARZA
Z ankiety urzędu dla spraw ludności w USA wynika, że Ameryka posiada obecnie 16.184 zawodowych pisarzy (z czego 6235 kobiet). Dochoń średni tych pisarzy — wyliczając kilkunastu autorów dobrze zarabiających — wynosi 3000 dolarów rocznie. Natomiast windziarz np. zarabia rocznie średnio 3500 dolarów.

Jak widać, w USA bardziej — od pisania książek, które nie rodzą się przecież z naciśnięciem guzika — opłaca się zawód windziarza...

TRUDNO ZOSTAĆ KOBIETĄ
Obywatel izraelski, Józef Weidenbaum, pragnąc uzyskać dokumenty, stwierdzające zmianę swej płci, spotkał się z kategoryczną odmową ministra sprawiedliwości. Wprawdzie kilkanaście podobnych zezwoleń zostało już uprzednio udzielonych w Izraelu, lecz w danym wypadku, zdaniem władz, rezultat operacji był „niepewny”.

Weidenbaum nie dał jednak za wygraną. Poprzez redakcję gazet domagał się zmiany decyzji ministra, grożąc złożeniem w parlamencie projektu ustawy legalizującej zmianę płci.

PONURE PROROCTWA
Jak donosi amerykańska agencja UP, Edgar Hoover, szef FBI (Federalne Biuro Śledcze) oświadczył, że co 18 młodziencik amerykański w wieku od 17 do 18 lat jest przestępcą.

„Jeśli ta tendencja utrzyma się, staniami w obliczu groźnej fali przestępczości z końcem lat 50-tych i początkiem 60-tych” — napisał Hoover w artykule, zamieszczonym w „The American Magazine”.

Zdaniem autora, jeżeli nie zostaną przedsięwzięte nadzwyczajne środki, bilans przestępczości będzie się w ten sposób przedstawiał:

„Przyszłe pokolenie stanie się świadkiem 41.800.000 oszustw, 15.800.000 włamań, 7.400.000 kradzieży samochodowych, 3 milionów napadów z bronią w ręku, a ponad 2 miliony Amerykanów zostanie zamordowanych.”

Władcy USA nie bardzo mają się czym chwalić, jeśli chodzi o skutki „amerykańskiego stylu życia”.

BOMBY NADZIEI
Dwie potężne 6-tonowe „bomby” kobaltowe, wysłane przez „Atomic Energy of Canada” holenderskim statkiem „Prins W. G. Frederik”, wylądowały w ostatnich dniach stycznia we francuskim porcie Le Havre. Chodzi w tym wypadku o „bomby” natury pokojowej, służące do „bombardowania” zaatakowanych przez rakę tkanek organizmu. Wewnątrz 6-tonowego pancerna ochronnego z ołowiu i stali mieści się niewielka od pudelka zapalek ilość radioaktywnego izotopu kobaltu, o promieniotwórczości 300 razy potężniejszej od radu. Stanowi on źródło promieni „gamma”, które są znacznie potężniejsze od promieni X. Promienie „gamma” są nową nadzieją ludzkości w walce z rakiem. Specjaliści francuscy, nazywając importowane aparaty kanadyjskie „bombami nadziei”, przewidują jednak konieczność 2-letnich intensywnych doświadczeń zanim opanują w dostatecznym stopniu tę nową metodę leczenia.

ON I ONE...
Ile żon ma wasz mąż? — Takie jest pytanie stawiane, wraz z 29 innymi, 5000 małżonkom pakistańskim, szczególnie zaś żonom dygnitarzy, przez Ligę Kobiet Pakistanu (A. P. W. A.). Odpowiedzi uzyskane posłużą dla ustalenia „karty praw kobiety”, która ma zostać uchwalona na kongresie A. P. W. A.

„Wyższe” sfery kobiece Karaezy rozpoczęły ubiegłej jesieni wojnę przeciw poligamii. Bezpośrednim impulsem tej akcji był fakt, że dwóch członków rządu poślubiło dodatkowe żony; owi ministrowie są zresztą w zgodzie z muzułmańską tradycją, upoważniającą do posiadania czterech żon.

ZNAIMIENNA DYSKRECIJA
„Who is who”, czyli periodyczny luksusowy wydawnictwo angielskie, w którym wyczytać można, kim jest — któryś z ministrów, lordów, parów czy bankierów, znane jest od wielu lat w Wielkiej Brytanii. Podobny rocznik współczesnych „wybitnych” mężów Niemiec zachodnich ukazał się niedawno. Po daje on szczegóły biograficzne dotyczące ministrów i innych adanauerowskich dygnitarzy. Z okresu do roku 1932 i począwszy od roku 1945 — pokrywając znaną dyskrekcją czas zawarty między tymi dwiema datami, czyli okres władzy hitlerowskiej.

Dalekosiężny wzrok Montesquieu

Był 1721 rok, gdy wielki myśliciel francuski Karol Montesquieu w głosnych „Listach perskich” pisał:

„Wciąż drzę na myśl, że kiedyś ktoś odkryje tajemnicę, jak najszybciej uśmiercać ludzi i niszczyć całe narody.” A na to odpowiada mu inny wędrowny Pers słowami:

„Mówisz, że boisz się, aby ktoś nie wynalazł innego, bardziej okrutnego sposobu wyniszczania ludzi... Nie lękaj się. Jeśli by nawet odkryta zo-

Napisał
Henryk Barański

Z zalecenia Światowej Rady Pokoju prócz Adama Mickiewicza i Fryderyka Schillera w roku bieżącym postępowo ludzkość obchodzi 200-lecie zgonu wielkiego myśliciela francuskiego Karola Montesquieu.

Myśli te, a zwłaszcza koncepcje położenia geograficznego narodu dały początek geograficznemu kierunkowi w socjologii, która uznawana jest do dni dzisiejszych w krajach kapitalistycznych. Obalili ją K. Marks, nazywając „punktem widzenia prawniczych iluzji”. Teorią tą uzasadniającą kłopotliwie nierówność narodów i usprawiedliwiającą ucisk i eksploatację narodów kolonialnych.

Ale mimo to zapatrywania Montesquieu były dla jego

czasów postępowe i stały się ideologiczną bronią w walce burżuazji francuskiej przeciwko feudalnej monarchii. Obchodząc 200-lecie śmierci wielkiego myśliciela postępowo ludzkość wspomina o nim nie dla konwensu jubileuszowego. Widzi w Montesquieu uczestnika naszego życia umysłowego, sprzymierzeńca w walce z despotyzmem i przemocą.

Karol Montesquieu należał do odłamu postępowej szlachty francuskiej, odznaczającej się niezależnością od dworu królewskiego i stale zapewnianą szeregi opozycji wobec monarchy.

Mówią, że ojciec Montesquieu zaprosił na ojca chrzestnego małego Karola zebraka, który znalazł się u wrót zamku w chwili jego narodzin. Chciał, aby ten biedak przypomniał zawsze synowi, że biedni, to jego bracia i jemu równi.



Tworzymy nowe rośliny

W ostatnich kilku latach dał się zauważyć w Związku Radzieckim szybki wzrost mechanizacji pracy w ogrodnictwie. W roku bieżącym kółchozy i sowchozy radzieckie zajęły około 5,5 miliona hektarów pod uprawę kartofli i warzyw. Duża część tych upraw odbywa się w sposób mechaniczny.

Oporny groszek

Od wielu lat rolnicy siali groch zwyczajnym siewnikiem, groch po wyrosnięciu kładł się i pokrywał całe pole. Pielenie i zbieranie grochu musiało w tych warunkach odbywać się ręcznie. Gdy pojawiły się specjalne traktory dla upraw ogrodniczych, specjalne siewniki, maszyny do pielienia itd., należało pomyśleć o zmianie systemu siania grochu. Dzisiaj wprowadza się w Związku Radzieckim nowy system siewu, który umożliwia maszynom przechodzenie przez pole bez niszczenia roślin. System ten polega na sianiu grochu w dwa rzędy, pozostawiając między parami rzędów odległości wystarczające dla przebiegu siewu.

Mechaniczny zbiór groszku zielonego napotykał niepokonane zdwadoły się przeskody, ponieważ nie wszystkie strączki dojrzewały jednocześnie. Dotychczas zbiór groszku zielonego odbywał się w kółchozach i sowchozach radzieckich ręcznie.

Przed uczonymi radzieckimi postawiono zadanie wyhodowania odmiany groszku zielonego, który by okwitał i dojrzewał jednocześnie. Odmianę taką wyhodowano w gribowskiej stacji doświadczalnej. Nazwano ją „Zwycięzca”. Odmiana ta okazała się niezwykle wygodna dla zmechanizowanej uprawy i zbioru.

Pomidory, rzecz łatwiejsza

Bardzo pracochłonna była uprawa pomidorów, które należało przywiązywać ręcznie do palików, okiecać wierzchołki, zbierać pędy i liście. By zmniejszyć pracochłonność tej uprawy i ułatwić mechaniczną obróbkę, wyhodowano niedawno specjalny gatunek pomidorów o twardej, drewnistej łodydze i stosunkowo niewielkiej liczbie liści. Pomidory te nie wymagają podwiązania do palików, obcinania wierzchoł-

ków i wszystkich innych ręcznych wykonywanych czynności, które tak utrudniają rozwój tej uprawy.

Gribowska stacja doświadczalna wyhodowała w br. dwie odmiany pomidorów o bardzo podobnych właściwościach. Odmiany te dobrze nadają się do uprawy mechanicznej, a ponadto mają tę zaletę, że szybko dojrzewają. Rozsada pomidorów rośnie w inspektach w tzw. „torfognojnych doniczkach”. Doniczki te produkują się maszynowo w radzieckich POM-ach.

A jak przesadza się te doniczki do gruntu? Ręcznie? Oczywiście, że nie. Do tego celu służy maszyna SRN-4 pomysłu inż. Nieszkowskiego, która sadi rozsady pomidorów do gruntu, podlewając ją jednocześnie. Wyrastają szybko zdrowe rośliny, gwarantujące maksymalne zbiory, a „kwadratowy” system sadzenia ułatwia maszynowe wykonywanie wszystkich czynności związanych z uprawą.

Tego o Cyganach nie wiecie

Wąbrzych, w lutym

Ich wielka wędrówka rozpoczęła się lat temu 900 znad brzegów Malabaru, z indyjskiej prowincji Zingari (czytaj: Cyngari), gdzie czczone potężne bóstwo Rom. Stąd nazywa się ich po dziś dzień Cyganami, oni zaś sami zwą siebie Romanami.

Trudno powiedzieć, co rzucił ten lud z najbogatszej w ówczesnym świecie krainy na odwieczną tułaczkę. Mówią, że byli w Indiach najniższą kastą „Sudra”, niższą jeszcze od Pariasów, a więc i życie ich w tym bogatym kraju musiało być jednym pasmem biedy i przesładowań.

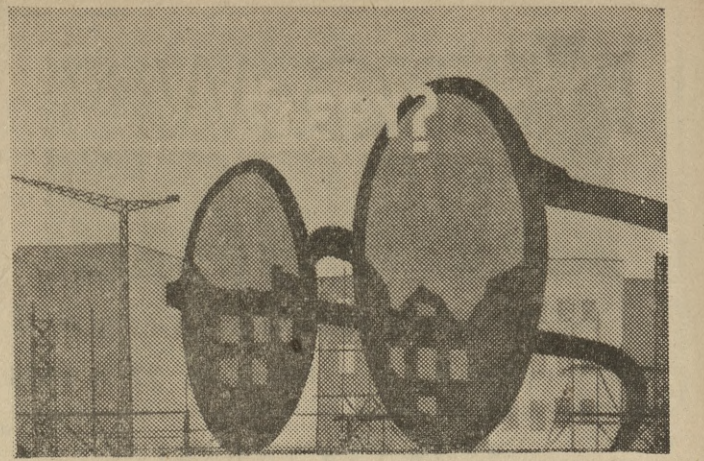
W Europie przyjęto ich początkowo dość gościnnie, rozszala się bowiem fama, że wędruje lud pielgrzymów, skazany sądem Bożym na wieczną tułaczkę. Niedługo trwała jednak ta cygańska pomyślność.

Srogi edykt

W roku 1461 na Zgromadzeniu Stanów w Orleanie król Franciszek I ogłosił edykt rozkazujący Cyganów „wytępić ogniem i mieczem, polować i chwycić jak dzikie zwierzęta, a w obławach szkielety mordować bez różnicy płci i wieku”. Pisał historyk dziejów cygańskich, Teodor Narbutt: „Zagłada i strach wielki padły tedy na Cyganów, a wielkie ich masy na Wschód uciekać przed edyktem poczęły, aż na ziemię słowiańską przyszli”.

I w Polsce powodziło się Cyganom nie najlepiej. Wprawdzie „ogniem i mieczem” ich nie ścigano, lecz osiedlać się i na roli pracować nie pozwolono. Zajmowali się więc Cyganie wędrownym rzemiosłem, a ponieważ nie dawali to wielkiego dochodu, dorbiali wróżbiarstwem, handlem koźmi, żebranią, a często i kradzieżą.

Nieźle powodziło się tylko „królom” i cygańskiej starszyźnie, która w Wą-



Sukcesy młodego grafika

Poznań uchodził w Polsce za jeden z najżywszych ośrodków grafiki. Mamy tu wielu znanych i cenionych artystów, których osiągnięcia są bardzo poważne.

Wyróżniony ostatnio nagro-

da młodych m. Poznania artysta - grafik Zbigniew Kaji odnosił i odnosi duże sukcesy i ma w swym dorobku wiele nagród na konkursach krajowych. Młody poznański grafik może być przede wszystkim dumny z I nagrody na wystawie w Wiedniu za plakat „W obronie pokoju”.

Pracowitość artysty i dojrzały talent otwierają przed Zbigniewem Kają wielkie perspektywy i możemy być pewni, że nieraz jeszcze usłyszymy o jego nowych wyróżnieniach.

Tego właśnie życzymy Zbigniewowi Kaji; tego oraz pomysłowości w umiłowanej pracy. Znamy naszego laureata i wiemy, że jeszcze bardziej pogłębi swój talent dla dobra polskiej plastyki.

Na tej stronie reprodukuje- my kilka prac Z. Kaji. (n)



Korespondencja własna

nie, ciągnącej dochody z danin wędrownego ludu. Prości Cyganie w swych przewrotnych kibitkach częstokroć przy mialerli głodem i chłodem.

Taki na wpol patriarchalny porządek społeczny zachował się do samej wojny. Rezydował wtedy w Krakowie ostatni „król” polskich Cyganów — Kwiek, któryś tam z kielei.

Potem nastały lata okupacji, a wraz z nimi wielka cygańska gehenna. Śmiało można powiedzieć, że hitlerowcy doskonale spełniali edykty króla Franciszka I.

Cygańska rewolucja

Po wyzwoleniu zaczęła się i dla Cyganów rewolucja. Właściwym jej początkiem był rzucony w 1951 roku apel osiadłego na stałe w Wąbrzychu Andrzeja Siwaka. Wezwał on współplemieńców, by wykorzystując stworzone przez Polskę Ludową możliwości, rzucili swą koczowniczą biedę, osiedli na stałe i jeśli się pracy, której jest przecież teraz w Polsce pod dostatkiem.

Nie jest to prosta sprawa. Nie chodzi tu naturalnie o warunki — warunki materialne koczujących Cyganów są nie do pozazdroszczenia — lecz o wielokole przyzwyczajenia, które wśród nich się zakorzeniły i które niełatwo przełamać. Są zresztą wśród Cyganów tacy, którym ta zmiana nie może się podobać — bo przecież nieźle sobie żyli z wróżbiarstwa i żebrani.

A jednak są już pierwsze rezultaty, i to dość poważne. W samym Wąbrzychu osiadło dotychczas około 100 cygańskich rodzin, a na całym Dolnym Śląsku jest ich już ponad 500. Pracują oni w fabrykach i PGR-ach, wielu spośród Cyganów pracuje przy budowie Nowej Huty.

Ale najważniejszy jest fakt, że powstała i działa w Wą-

brzychu pierwsza demokratyczna organizacja cygańska w Polsce: Stowarzyszenie Cyganów Osiadłych. Jej prezesem jest inicjator nowego ruchu — Andrzej Siwak.

Na nowej drodze

W Wąbrzychu odwiedziłem kilkanaście zamieszkałych przez Cyganów mieszkań. Jeśli porównać te — pokoje, w których stoją już przecież porządne meble, a gdzieślegdzie i odbiorniki radiowe — z pióciennym domkiem na kołach, staje się jasne, dlaczego ci ludzie mówią o swym nowym życiu prawie z entuzjazmem. A przecież jeszcze im się nie przelewa — w większości prowadzą życie skromne.

Ot, weźmy chociażby dziecinę, którą po raz pierwszy ujrzałem w hali cygańskiej spółdzielni „Kotlarz”.

Nazywa się Anna Łuczak, ma niewiele ponad 20 lat, ładną twarz o specyficznie cygańskiej urodzie i gęste czarne włosy. Wraz z rodzicami i pięciorgiem rodzeństwa przyjechała do Wąbrzysza od razu po apelu Siwaka. Jej poprzedniego życia nie ma celu opisywać: wystarczy przyrzeć się życiu, którejkolwiek z koczujących rodzin.

Anna Łuczak jest dziś przodownicą pracy i aktywną ZMP. Zdobyła zawód i szacunek otoczenia. Najlepszy dowód, że 5 grudnia została ona radną MRN w Wąbrzychu.

To dopiero początek. Do zbioru pozostało jeszcze niezmienne dużo. Trzeba jak najwięcej Cyganów przekonać do osiadłego życia, a wśród tych, którzy już się przekonali, ożywić pracę kulturalną, wzmocnić wśród ludności cygańskiej pęd do oświaty.

Najważniejsze jednak, że początek został zrobiony. Po wieloletniej wędrowności rozpoczęło się dla polskich Cyganów nowe życie.

HENRYK WISS



Plakat Z. Kaji

Stare czasy na hrabskim

1.

Na imię było jej Anna, lecz wszyscy wołali — Hania. Wyjątkowym sposobem uniknęła dziwnego miana, jakie nadawał swym parafianom dawny proboszcz. Ojciec na przykład nosił imię Melchiora, co brzmiało nieco osobliwie, lecz w każdym razie było zrozumiałe. Gorszą dolę znosił sąsiad Kukurenda, którego ochrzczono i zapisano w parafialnych dokumentach jako Nabuchodonozora.

Nabuchodonozor Kukurenda! Każdy musiał się z tego śmiać. Nieszczęścia dopełniały dzieciaki. Pokrzykiwały za swym rówieśnikiem:

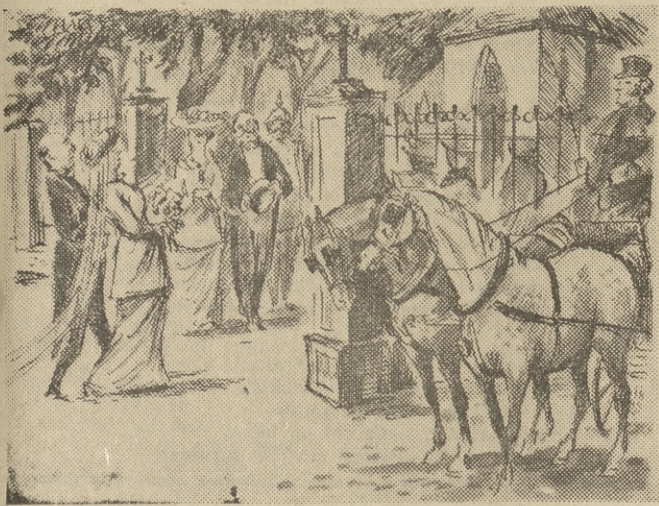
— Na brzuchu ma ozór! Na brzuchu ma ozór!

Gdy Kukurenda stawał przed pruską komisją wojskową, notujący dane personalne feldfebel wrzasnął:

— Wie? Was für eine Vorname? Nabuchodonozor? Unverständlich*).

Komisja ryczała ze śmiechu, a człowiek noszący od urodzenia imię cudaczne stał nagi, przykrywając wielką jak bochenek dionią wstydlive miejsce ciała. Czynił przy tym minę tak pokorną, jakby swojej śmieszności zawinił.

W Grudzewie jakoś się ludzie przyzwyczaili. Był tam na przykład chudy i wyschły człek imieniem Polikarp. Z biegiem lat, wprost trudno uwierzyć, upodobił się do prze-



rys. Henryk Derwich

zwiska „plotka“, które wędrowało za nim całe życie. Jeden z fernali dworskich został obdarzony mianem, o którym nie wszystkie kalendarze wspominały. Kto bowiem słyszał o świętym Cyrjaku? Chyba nikt. Spolszczono więc cudzoziemskie brzmienie na swojskie — „czyrak“. Syn gospodarza z kolonii, która też należała do grudzewskiej parafii, zapisany był w proboszczowskich dokumentach jako Ewaryst Duda. Oczywiście dzieciaki przekreśliły na „angryst“ — i choć łoił swoich kolegów szkolnych twardą ręką, nie nie pomogło.

Kobiety nie były wolne od haraczu śmieszności, jaki nakładał ks. Gmerowicz przez lat kilkadziesiąt. Ze święconą wodą spływały na nie takie imiona jak: Hermegilda, Perpetua, Domicela, Agrypina, a córkę wdowy Polniakowej, z tej samej sieni czworaku co Graczykowie, powinno się wołać: „Scholastyka“. Z biegiem lat grudzewscy zmarli i zgadzając się na obranie dla nowonarodzonego dziecięcia patrona według woli księdza, prosili o drugie imię zwyczajne, jak między normalnymi śmiertelnikami. Czasem proboszcz dobrodziej przystawał. Należy w tym miejscu zaznaczyć, że osobliwy zapach do oryginalności przy udzielaniu sakramentu chrztu swym parafianom, wynikał z bardzo pobożnych intencji księdza Gmerowicza. Oto dowód: krótko przed rokiem 1900 nowowyświęcony biskup wizytował jego dekanat. Stary pan hrabia Grudzewski jeszcze wówczas żył i na prośbom śniadaniu opowiedział arcybiskupowi kilka dykterek o praktykach miejscowego proboszcza.

— Księżę dziekanie — zapytał później biskup. — Zaba-
wę sobie frater urządza z tymi imionami?

Ks. Gmerowicz, już wówczas mocno w latach posunięty, poczuł się urażony takim posądzeniem. Jak Jego Eksce-
lencja może! Przecież czyni to wcale nie dla kpin, a tylko z przyczyny swej troski o sprawiedliwość. Tak. Właśnie o sprawiedliwość szło proboszczowi z Grudzewa. Jest prze-
cież tytu świętych. Kalendarz wymienia prawie tysiąc...
— A czy mają swych podopiecznych na ziemi? Niech
Jego Eksceleńcja powie? Nie mają! A przecież mogłoby
wiele dobrego uczynić na tym padole łez i płaczu, bo
mało u nich zatrudnienia. Więc jak się dziecko rodzi w
dniu takiego patrona, lub gdzieś w pobliżu, chrzczę jego
imieniem na chwałę Bożą i świętego. Złe czynię?

Biskup śmiał się cicho, odwróciwszy głowę do towarzy-
szącego mu w wizytacji prałata, by staruszka nie obra-
żać. Przeciwno obyczajom parafialnym nie protestował.

Po tej wizytacji ks. Gmerowicz chrzczył jeszcze kilka lat,
lecz chorował często. Nerki dokuczały tak, że dr Jodłow-
ski groził operacją. „Doigra się ksiądz dobrodziej, jeśli
węgierskiego wina nie przestanie pociągać“. Palec lekarza
poruszał się przed oczami przerażonego pacjenta. „Tylko
na język biorę, drogi konsyliarzu“ — odpowiadał pro-
boszcz grudzewski jęcząc z bólu.

Gdy jednak cierpienia ustawały, a nerki zaczynały le-
piej funkcjonować, dieta i ziołowe herbatki szły w kat.
Nieszczęsny duszpasterz pobałdł z powrotem w dietetycz-
ne przysmaki. Kieliszek zjawiał się na stole obok potraw
głównych, ostrych, obok grzybków w occie, kiełbas, gęsi-
ny i dziczyzny. Ta żołądkowa rozpusta trwała z reguły
bardzo krótko — miesiąc, najwyżej dwa — aż do na-
stępnej kuracji.

Właśnie w czasie, gdy ks. Gmerowicz ciężko niedomagał,
urodziła się Hania. Młody wikary nie hołdował obyczajom
proboszczowskim i ochrzcił dziewczynkę jako Annę, zgod-
nie z prośbą Melchiora Graczyka.

2.

Troskliwy o sprawiedliwość między świętymi proboszcz
zmarł wiosną 1910 roku. Tego samego lata, zaraz po
Zielonych świątkach odbył się ślub Rolanda hr. Gru-
dzewskiego z księżniczką Elżbietą z Radziwiłłów. Nosząc
nazwisko nie pochodziła jednak z królewiat nieświe-
skich, a z tej linii, która blasku dla rodu szukała u słów-
tronu pruskiego. Nie zmieniało to jednak splendoru i ko-
ligacji, w jakie dziedzic Grudzewa wchodził. Szczególnie
stryj młodej pani, książę Alfred miał spośród berlińskich
Radziwiłłów najznaczniejsze wpływy na cesarskim dwor-
ze. Zapowiedział nawet swój udział w ślubie, lecz w ostat-
niej chwili przeskodził mu atak złośliwej podagry. Był
może właśnie zapowiedź przybycia starego księcia, nale-
żące do otoczenia najjaśniejszego cesarza, była przyczy-
ną, iż zarówno dowódca Infanterieregiment 96 w Plesze-
wie — oberst von Boettker, jak i landrat z tego miasta —



SPOKOJNA

JANUSZ LIKOWSKI

baron von Tuehtingen, raczyli przyjąć zaproszenie na
oficjalne uroczystości zaślubin.

Przybyli także dziedzice z sąsiedztwa, kilku oficerów
i wiele pań pachnących perfumami, w wielkich jak koło
od wozu kapeluszy przystrojonych sztucznymi kwiatami.
Dworcy, których pan Sulimczyk poustawiał wzdłuż
drogi z kościoła do pałacu każąc krzyżeć: „Wiwat! Niech
żyją!“ — rozdziwiali gęby ze zdumienia.

Na uroczystości matka uszyła Hani z białego płótna su-
kiencynę. Obcięła od swej halki stare koronki, ozdabiając
nimi rękawy i kołnierzyk. Tak przystrojona posypywała
z innymi dziewczynkami kwiatki przed hrabiowską parą.
Odwracając się widziała wystający z tyłu, błyszczący pięk-
nie, poźłocisty szpikulec pikethauby, która podrygiwała
rytmicznie. Byszcząc pikethaubę Hania zapamiętała.
Żandarmi, którzy czasem do wsi przyjeżdżali, też takie
mieli, ale gdzie im do tej pana obersta. Na pewno robi
się ją ze złota albo jeszcze z czegoś droższego.

Księżniczka była ładna, młoda i Hania nie mogła zro-
zumieć, czemu sobie bierze pana hrabiego za męża. Miał
on trzydzieści kilka lat, lecz mały Graczykównie wydawał
się strasznie stary. Włosy już częściowo postradał, a na
wysokim czole, w ten upalny dzień czerwcowy, występo-
wały kropelki potu.

Przed kościołem, z boku, ustawili się muzycanci. Spro-
wadzono ich z Poznania. Na stacji pan generał admini-
strator Osiński wystawił wszystkie bryczki, jakie w pię-
ciu folwarkach klucza grudzewskiego można było zmo-
bilizować. Przywieźli trąby ogromne, lśniąco, i małe,
czarne fujarki, wydające dziwne dźwięki. Wszystkim tym
cudownościom dzieciaki przyglądały się tak natarczy-
wie, że pan Sulimczyk, odgrywający w czasie weselnej
pompy rolę porządkowego, musiał je odpędzać zerwanym
z kościelnego cmentarza kijem. Orkiestra zoczywszy or-
szak zagrziała potężnie. Była to jakaś dziwna, nie-
znana grudzewskim muzyka, jakby nabożna, więc wszy-
scy zdjęli czapki.

Przed ołtarzem, dziewczynki poprzednio wyćwiczone
rozeszły się na boki, by klęknąć jedna za drugą, po obu
stronach jaśnie państwa. Jakiś pan na chórze strasznie
głośno śpiewał, jeszcze pięknie od księdza Doroszew-
skiego, który został proboszczem po śmierci ks. Gmero-
wicza. Z tyłu, w ławkach chrzcili buty i słyhać było
brzęk ostróg.

W ogóle ślub nie był zwyczajny, ale to nic dziwnego —
pan hrabia się żenił... ho! ho! Coś takiego grudzewscy
mieli tylko raz w życiu oglądać. Nawet stary pan, który
kilka lat leżał już w grobie, nie urządził takiej parady
na swoje wesele. No, ale wówczas było powstanie w Kon-
gresówce i podobno kuzyn pana hrabiego zginął w cza-
sie jakiejś bitwy.

Już po wszystkim panna Zofia, kuzynka hrabiego za-
rządzająca gospodarstwem domowym, zawołała dzie-
wczynki w białych sukienkach do oficyny pałacowej.
Każda dostała kubek kawy ze śmietaną, kawałek tortu,
placka, torbę cukierków i niewielki pieniążek błyszczący
srebrnym blaskiem, z głową mężczyzny. Była to dwu-
markówka. Wydając wspaniałości przykazała:

— Takno musicie się, drogie dzieci, pomodlić za szcze-
ście jaśnie hrabiostwa. Przez tydzień trzy razy Zdrowaś
Maria i raz Ojcie nasz.

Powiedziawszy te słowa, panna Zofia uroniła kilka łez,
bo z małżeństwem kuzyna kończyła się jej samodziel-
ność. Dziewczynki chórem podziękowały, a wychodząc
każda dygała, całując „dzieciżkę“ po kościстых, dłu-
gich palcach.

3.

Takie były jaśniejsze wspomnienia z dzieciństwa Hani.
Swoją pieniążkę odrobiła solennie, odmawiając nie
przez tydzień, ale przez cały miesiąc zdrowaśki. Hrabstwa
już nie było. Pojechali „do wód“. Graczykówna rozmy-
ślała czasem, co to za „wody“ i jak się tam można do-
stać. Czasem wydawało się jej, że pan hrabia i pani hra-
bina jadą do pięknego źródła, w którym błyszczą się
kolorowe światełka, i stamtąd piją wodę, a tę wodę za-
czarowała dobra wróżka. Babcia Zofka opowiadała w
jednej bajce, że jest takie
czarodziejskie źródło: kto się
z niego napije, zawsze jest
piękny i bogaty. Pewnie hra-
biostwo po zaczarowaną wo-
dę jeżdża. Hej! Gdyby Hania
miała pieniążkę, pojechałaby
do czarodziejskiego źródła,
a potem wszyscy byłiby szcze-
śliwi, bo każdemu dałaby,
choć po kropelce. Kiedy
wrócił na wakacje syn pana
Sulimczyka, chodzący do gim-
nazjum w Ostrowie, po-
wiedział, że jaśnie pan hra-
bia pojechał na „riwery“. Kazi-
k tłumaczył fernalskim
dzieciom, że to taki piękny
kraj, gdzie nie ma chmur
na niebie i wiecznie jest po-
goda.

Tego dnia siedzieli z pod-
winylętymi nogami na rżysku.
Jeszcze do zapędzenia była
się coraz niżej. Dobrze wtedy pomarzyć.

— Tam musi być pięknie! — westchnęła. — Zawsze
słoneczko. Deszczu nie ma, nie trzeba głowy zakrywać
workami, gdy krowy się pasie.

Stasia, ta właśnie, którą ks. Gmerowicz ku wielkiemu
oburzeniu matki ochrzcił na jakąś Scholastykę, była
dziewczynką rozrośniętą. Gdzie tam chudzinie — Gra-
czykównie do Polniaczki, a poza tym mądrzejsza była
i wcińska. Spojrzała na Hanię pogardliwie:

— Głupia! Oni krów nie pasą, przecież jaśnie pań-
stwo! Wiesz co tam robią?

— Co? Co?

Oczy młodszej dziewczynki zapłonęły ciekawością.
Może się dowie o tej cudownej wodzie, tryskającej w
cudnym kraju, gdzie chmurki nie zakrywają nieba. Sta-
sia chichocząc pisała:

— Oni się... parzą!

— Eeee!

— Naprawdę; nie wierzysz? Kucharka Marcela z pa-
łacu opowiadała matce, że po tym ślubie ma złote czasy,
bo panna Zofia wyjechała na wakacje, a pan hrabia
parzy się na „riwerach“.

Słowo niestety utkwilo w pamięci dziewczynki.

Nad wieczorem wracały po niezorany rżysku, z któ-
rego wyrastała skąpa zieleń poskubywana przez krowy.
Bydłta były zmyślne i mniej kaleczyły sobie miękkie
pyski, niż dziewczęta nogi. Stasi utkwiała zadra w pięcie,
więc siadła próbując paznokciem wydobyć drzazgę.
Krzyknęła do Hani:

Zaganiaj! Zaganiaj!

Bydło rozlażiło się szeroko, jakoś krowom nie spieszy-
ło się do obory; porykiwały smętnie, wyciągając ku sza-
rzejącemu niebu mokre pyski. Na ich ognojone zady
spadały razy leszczynowych prętów, zadawane słabą ręką
Graczykówny Rudy kundel zabiegał bydlu drogę ka-
sając je w wymion. Wreszcie Polniaczka poderwała się
i razem skierowały stado ku „ludzkiej“ oborze.

Mieściła się ona niedaleko pałacu, trochę z boku, by
nie psuć widoku gościom hrabiowskim, przyjeżdżającym
z wizytą. Przy głównym trakcie stały czworaki — pia-
skie, szerokie, wzniesione z surowej cegły. Każde miesz-
kanie składało się z izby, kuchni i niewielkiego stryszku.
Od frontu budynek wyglądał nawet schludnie, bo go co
rok przed Wielkanocą bielono. Zza chrzącących płotów
chroniących niewielkie kwietniki bardziej przed złośli-
wością kur niż ludzi, wystawały kołyszące się na wietrze
łodygi malw i obsiadane przez chmary wróbla soneczniki.
„Tyły“ czworaków traciły swe sielankowo-dworskie pięk-
no. Mierzwę z niewielkich chlewików rozdrapywały kury
i paprające się w gnoju, wypuszczane na podwórko mło-
de warchlaki. Starannie i czysto utrzymywane były tylko
ogródki warzywne, okolone również gęstym płotem gałęzi.
Wczesną jednak wiosną, nie była to skuteczna obrona
przed wszędobylskimi kurami, więc dzieci z czworaków
spędzały je ciągle z wierzchołków ogrodzenia, przy ujad-
niu psów i gdakaniu zdenerwowanych kwok.

Za czworakami krzyżowały się drogi: polna z brukowa-
nym traktem na Grylewo i dalej do Pleszewa — tam
właśnie, od krzyżówki zaczynało się Grudzewo „gospo-
darskie“. Zresztą gospodarzy było tu tylko trzech: Kraw-
czyk, Gielnia i Mucha. Mieszkał po tamtej stronie jeszcze
nauczyciel Bilewicz w czerwonym budynku szkoły, sklepi-
karz Friedman i proboszcz z organistą. Kościół, mieszczą-
cy się niemal na samym skraju wsi był niewysoki — choć
murowany, a sam czubek wieży ledwo wystawał nad ko-
roną starych kszatańców.

Studnie wykopano przy każdym czworaku i jedną w
pobliżu obory. Właśnie przy niej czekała matka Staśki,
rozrośnięta w biodrach i piersiach, pyskata, zadziorna.
Obmyte szkopki stały na korycie, z którego krowy piły
wodę.

— Leć do chałupy, a ino! — krzyknęła do Hani. — Za-
pędzę sama!

Dziecko pobiegło.

Przed sienią Graczyków stał wymoszczony słomą wóz,
a z mieszkania wynoszono pierzynę i jakieś przykrycie.
Staneła Hania chwilę, lecz znów ją pogoniono do izby.
Nawet pan Sulimczyk, który wszystkich do pośpiechu po-
pędzał, usunął się dziewczynce z drogi, mówiąc:

— Idź, idź, pożegnaj się z matką.

Leżała na łóżku blada, bez uczucia, jakby wszystka krew
z twarzy odpłynęła. Starsza siostra Hani klęczała przy
matce, głośno płacząc, a ojciec zaseponiony, niezdarnie wy-
bierał z komody bieliznę. Ręka Graczykowej opadała bez-
ładnie. Hania myślała, że matka już umarła, ale klęk-
nawszy obok usłyszała słaby jęk i głos:

— Pić...

W tej właśnie chwili w sieni rozpoczął się harmider.
Pchała się babcia Zofka, która musiała być przy każdym
urodzinach, ślubach i zgo-
nach we wsi. Przyniosła grom
nicę, lecz pan Sulimczyk jej
nie pozwalał.

— Gdzie leżecie? Do szpi-
tala trzeba kobietę, a nie na
tamtym świąt. Widzicie, że
wóz szukają. Gdzie się pcha-
cie?

Staruszka gorsząc się nie-
wiedzą pana Sulimczyka, któ-
ry przecież w Grudzewie za-
rządę jest, odparła:

— Książd dobrodziej z ole-
jami świętymi już idzie.
Gromnica potrzebna.

Od kościoła dobiegał cieni-
kły głos dzwoneczka. Ludzie
klękali na ziemi bijąc się w
piersi, a Zofka Kukurenda
podniosła ku górze zapaloną
świecę, wokół której owijały
się grube ziarna czarnego ró-
sno.

rys. Henryk Derwich

zańca. Młody proboszcz szybko udzielił absencji. Pół-
przymotną kobietę namaścił olejami i odprawił pospie-
szone, łacińskie modły, które Hanię przeraziły. To tak z
matką źle, że trzeba w czworakach po łacinie się modlić —
jak w kościele?

Chwilę ks. Doroszewski klęczał, a potem ją sam przy-
spieszać, by jechali już do szpitala. Jęcząc położono na
wozie odprowadzanym przez kobiety i dzieci na kraniec
wsi.

— Jak się to stało, panie Sulimczyk? — spytał pro-
boszcz.

— Ano, podawała snopki przy maszynie. Smyknęła się
kobiecie noga i spadła z góry. Coś w niej pewnie oberwało.
Po chwili namysłu dodał:

— Nie wiadomo, czy wyżyje. Krew z niej idzie.

Dalszy ciąg powieści drukować będziemy w codzien-
nym odcinku „Głosu Wielkopolskiego“ — od najbliższego
numera.

*) Jak? Co za imię? Nabuchodonozor? Niezrozumiałe.

„Rzucę tu, rzucę tam, i urodzaj dobry mam”

W pewnym mieście, czy to w Leningradzie, czy to w Odessie, mieszkał sobie pewien zuch, zwany Spryciarzem. Przyszedł pewnego dnia Spryciarz do fabryki zabawek dziecięcych i rzecze słodkim głosem: — Wymyśliłem dla dzieci grę — cud nad cudy! Nazy-

ści kasa, na prawo czy na lewo?

— Pieniądze panu nie uciekną — powiedział dyrektor — jednakże, zanim zacznę produkować pańską grę, muszę ją na wszelki wypadek przekon-

— Udali się do pedagoga.

— Niech mi pan uprzejmie



Rys. H. Derwich

wa się ona „Rzucę tu, rzucę tam i urodzaj dobry mam”.

— A jak się gra w tę grę? — zainteresował się dyrektor.

— Zupelnie zyczajnie. Oto tekturka. Na niej narysowany jest schemat systemu trawopolnego. Każde z dzieci dostaje taką tekturkę i kostkę. Dziecko rzuca kostkę i liczy oczka. Kto wyrzuci największej oczek, ten najwcześniej zaczyna siewy. Ten zaś, kto wcześniej zacznie siewy, zbierze więcej i tym samym wygra.

Slicznie — powiedział dyrektor — a jak się prowadzi obliczenie?

— Obliczenie prowadzi się za pomocą operacyjnych zestawień.

— Sprytnie pomyślane! Zuch z pana! Takiej rozrywki-pouczającej gry od dawna poszukiwaliśmy.

— To znaczy, że sprawa załatwiona! — zawołał Spryciarz — Gdzie się tu u was mie-

powie, czy w grze tej nie ma jakichś odchyśleń, czynników, wypaczających charakter lub antypedagogicznych naleciałości? — zapytał dyrektor. —

PO POWROCIE
Z „PODKOZIOŁKA”

— Przestań jęczeć! Prawdziwy Otello nie takie męki wytrzymał...

Różnica

Na pewnym przyjęciu Shaw zjawił się z obrymą dziurą na lokciu. Chcąc ośmieszyć słynnego kpiarza i zarobić przy okazji na miano dowcipnego, jeden z gości chwycił go za lokcie i mówi:

— Panie Shaw, u pana mądrość wygląda z tej dziury.

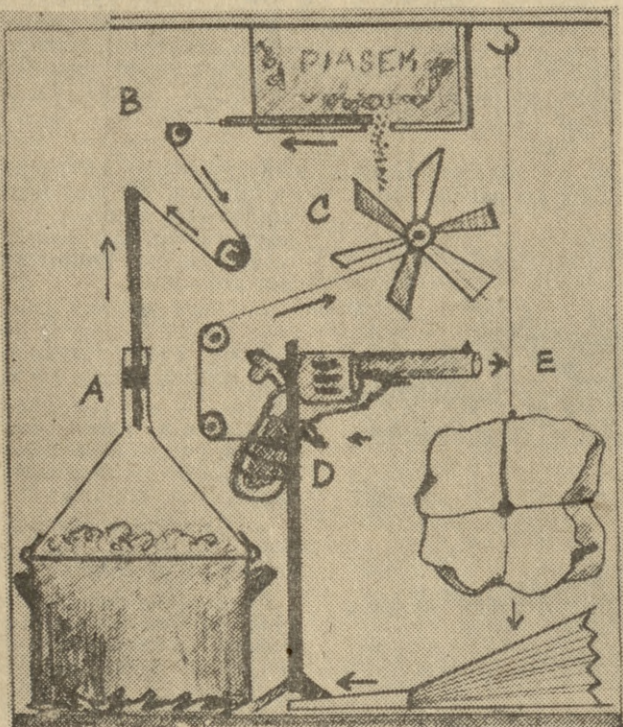
— Drobiazg — odparł Shaw.

— Gorzej, że coś wręcz przeciwnego zagląda do niej...



PRZEWIDUJĄCY

Racjonalizacja na wesoło



Aby zaspokoić wzrastające stale wymagania zrzeszonych i niezrzeszonych gospodyń domowych, wynaleziono ostatnio tak zwane mechaniczne stróża od zapobiegania wypadkom kipienia mleka. Przyrząd ten, jak widać z załączonego szkicu, jest nieskomplikowany i może być zastosowany w każdym gospodarstwie domowym. Każdy może wykonać takiego „stróża” we własnym zakresie.

A oto objaśnienia: Jeżeli mleko zacznie gotować się, para unosząca się z garnka wywiera parcie na tłok A, pod którego działaniem linka B odciąga kłapę ze skrzynki z piaskiem. Piasek spada na wiatraczek C i porusza jego skrzydełka. Linka z kolei pociąga za cyngiel pistoletu D, a kula przecina linkę E, na skutek czego kamień spada na dyszę, powodując zdmuchnięcie płomyka gazowego w kuchenke. Mleko przestaje się gotować — i nie kipi.

Na wypadek nieprzewidzianych komplikacji w działaniu mechanicznego stróża, należy osobście pilnować mechanizmu.

(wg „Berliner Illustrierte”)

Czy na tym odcinku nie będzie za coś odpowiadać?

Pedagog spojrział na tekturkę i powiada:

— Raczej nie dopatruję się tutaj niczego szkodliwego. Co prawda przy rzucaniu kostkami może zaistnieć moment hazardu, lecz hazardu pożytecznego, zmierzającego do szlachetnego celu, skierowanego, że tak powiem, do zwiększenia powierzchni uprawnej. Nie wiem tylko, jak wygląda sprawa z agronomicznego punktu widzenia?

Dyrektor i Spryciarz udali się do agronoma.

— Czy nie ma tu błędów agronomicznych, za które musiałbyś odpowiadać?

— Nie — odparł agronom. — System trawopolny zestawiony jest ze znajomością rzeczy. Schemat ten całkowicie aprobuje. Nie wiem tylko, jak wygląda sprawa obliczeń?

Dyrektor i Spryciarz poszli do statystyka-ekonomisty.

— Czy nie ma tu usterek, jeżeli chodzi o obliczanie? — zapytał dyrektor. — Czy nie będę musiał ponosić za nie odpowiedzialności?

— Obliczenia są dość prymitywne, lecz prawidłowe — uspokoił go statystyk-ekonomista. — Nie wiem jednak, jak tam z rysunkami.

Udali się do artysty-malarza.

— Za obrazki na pewno nie będzie pan odpowiadał — powiedział plastyk. Nie widzę w nich formalizmu, estetyzmu, naturalizmu, surrealizmu, kubizmu czy futurizmu. Rysunki są realistyczne.

— No, więc teraz wszystko jest w jak najlepszym porządku — wykrzyknął dyrektor. — Teraz jestem spokojny, że nie ponoszę odpowiedzialności.

I Spryciarz otrzymał pieniądze.

Wyprodukował dyrektor grę, przyniósł dziecku i powiada:

— Bierz-no kostkę i rzucaj. Dziecko rzuciło raz, rzuciło drugi i zapłakało.

— Czego ty, malutki, płaczesz?

— Nudne...

— Masz ci los. Oto, jaki obrot sprawy przybrał — przestraszył się dyrektor. I zanim zdążył się zorientować, wezwał go zwierzchnik i powiada:

— Musimy cię, bracie, pociągnąć do odpowiedzialności.

— Za co? — zawołał głośno dyrektor.

— Pomyśl dobrze — odpowiedział zwierzchnik.

Usiadł dyrektor i zaczął myśleć, z jakiego to powodu musi ponieść odpowiedzialność.

I myśli aż do dziś dnia.

(„KROKODIL”)

Traszk

LADNE TEMPO

Budowa obiektów w centrum Poznania posuwa się w tak żółwym tempie, że trudno wierzyć, by prace mogły być ukończone jeszcze przed Targami.

W poznańskim tempie budujemy, (a przed Targami tempo wzrasta) całemu światu pokazemy — lasy rusztowań w środku miasta.

KRZYSZTOF ZIELNICA

Z OBSERWACJI PRZYRODNICZYCH

Jak świat światem, rzecz to znana, tak się już przedziwnie składa, że ród mrówczy, proszę pana, woli nie znać mrówkojada...

L. W. ŚCIPŃSKI

NAGROBEK DZIEWICY

Strzegła swej enoty, strzegła i śmierci dopiero uległa.

JANUSZ WASYLKOWSKI

O BRAKOROBIE

Póki był, sąd o nim wydawano taki: „Smuć nas jego braki.” Kiedy odszedł, z ulgą powiedziano tak: „Ciesz się jego brakiem.”

JAN JAKUBOWSKI

po witce do KŁĘBK

Metoda

Każdy, kto przechodzi placem Wolności w Poznaniu, może łatwo zauważyć na rusztowaniu obok sklepu „Delikatesów” dużą tablicę z napisem „pracujemy metodą Skitena”. Jak stosowanie tej produkcyjnej metody wygląda w praktyce instytucji prowadzącej roboty w tym miejscu — tego niestety, nikt jeszcze nie widział. Albowiem od paru tygodni na rusztowaniach nie ma żywego ducha.

Dlatego proponujemy wyświetlić inną tablicę. Na przykład „pokaz metody żółwiowej w budownictwie”. U dołu tablicy można dodać „naśladownictwo wzbronione”.

(nadesłał A. Bąk — Poznań)

Z naszej poczty



Otrzymał miś następujący list:

Spieszę zawiadomić Szanowną Redakcję, że po gościnnych występach w Puszczykowie udałem się na przymusowe wakacje w miejsce cieniiste, suche i spokojne, zwane przez pracowników Centrali Wynajmu Filmów — magazynem. Jest tutaj nieźle, choć trochę nudno, gdyż przypadek zdarzył, że umieszczono mnie między „Nie-daleko Warszawy” a „Trudną miłością”. Jeżeli tylko CWF wspólnie z OZK wymyśli nową formę zdzierania z miłośników filmu nowych „awangardowych” cen za bilety, zaprezentuję się na ekranach kin poznańskich.

Z szacunkiem (dla publiczności) i brakiem szacunku (dla CWF-u):

Pan Hulot

(wg korespondencji ob. C. S.)

Pytanie bez odpowiedzi

Może redakcja „Głosu” potrafi mi wyjaśnić, jaka istnieje w praktyce różnica między normalnym sklepem spożywczym MHD czy PSS a tak zwanym „sklepem wzorcowym”. Ja, niestety, mimo dobrych chęci i okularów, żadnej różnicy nie zauważyłem — ani w wyborze i jakości towarów, ani w sposobie obsługi klienta, ani w wyglądzie i urządzeniu tych sklepów. Kiedy spytałem o to jednego sprzedawcę, wybaluszyl na mnie oczy, a potem powiedział, że bym przyszedł jutro, to mi powie, bo musi się spytać w dyrekcji.

A może redakcja też nie wie?

Kazimierz Nowak — Poznań

Owszem — też nie wiemy. A co do dyrekcji — to niech Pan się nie martwi. Oni z pewnością również nie wiedzą.

O lakiernikach i zdrapywaczach

Mała przypowieść — dla nauki. Był pewien obraz — dzieło sztuki. Miał proste ramy i treść prostą: jakiś wycinek, który z życia wyskoczył śmiało, mocno, ostro — tak jak go malarz właśnie widział. Biła zeń szczerość i odwaga, co prócz promiennych stron tematu pokazała cieni się nie wzdraga...

Lecz — że nie było tam schematu, skorzy znaleźli się Zoile i zawołali: „Kicz — i tyle! Umniejszająca problem blaga! Rzecz współczesności jest paszkwilem! Z rzetelną sztuką wprost na bakier! By malowidło lśniło mile, z wierzchu różowy dajmy lakier!”

Jest konsekwencja u Zoili: jak powiedzieli — tak zrobili. I był obrazek na płóciennku — choć sfalszowany — pełen „wdzięku”. Lecz gdy minęła koniunktura, nagle ci sami przyszli spece i zawołali: „Kicz i bzdura! Już nam obrzydła tak dalece Ta polyskliwa politura! Niech wyjdzie na wierzch prawda czerstwa, bez lukrowania i fałszerstwa!”

Kto żyw z nich zaraz złapał zapal — lakierek mazał, ściierał, draapał... Nie poprzestając na werniksie, beztrosko głębiej wwiercał w mig się. Bo jak jesteśmy „na etapie”, że można drapać — to się drapie... Każdy z wysiłku stękał, sapał — aż, zanim w skutkach się połapał, wyszła z obrazu sprawa smutna: zdrapali wszystko — aż do płótna!...

Logiczny morał stąd wynika: bijmy nie tylko w lakiernika — bo już jesteśmy na etapie, że czas dać temu też po łapie, co razem z fałszem prawdę zdrapie!



Podobno wytwórnie papierosów zamierzają w ramach produkcji ubocznej wytwarzać patefony ze specjalną płytą dla kioskarzy.

Stare chińskie baiki z aktualnym morałem

CHŁOP, WIELBŁĄD I DZBANEK

Chłop nasypał do wielkiego glinianego dzbanu ziarna i wyszedł. Wielbłąd, wykorzystując okazję, wsunął głowę do dzbanu, zjadł ziarno, lecz głowy na powrót wyjąć nie potrafił — uwięzł.

Gospodarz gdy wrócił, nie chcąc tracić dzbanu, wziął się kiere i uciął wielbłądowi głowę. Lecz ciós rozbił również naczynie. W ten sposób stracił on i wielbłąda i dzban.

Ludzie, którzy usiłują rozwiązać sprawę, nie zbadawszy jej uprzednio, przypominają tego gospodarza.

O SKÓRZE WIELBŁĄDZIEJ I DYWANACH

Pewnemu gospodarzowi padł wielbłąd. Zapobiegliwy właściciel zdjął z niego skórę i rozpostarł ją na słońcu aby wyschła, zleciwszy synom pilnowanie jej przed deszczem, sam zaś odszedł.

Kiedy zaczął padać deszcz, niemądry synowie przykryli skórę drogoocennymi dywanami. W efekcie i skóra i dywany uległy zniszczeniu.

W ten sam sposób niektórzy „chronią” mienie społeczne, przynosząc więcej szkody niż korzyści.

NAJLEPSZA TRAWA

Dwaj sąsiedzi kosili trawę na Południowej Górze. Jednemu z nich wydawało się jednak, że na Północnej Górze trawa jest lepsza i postanowił się tam udać.

Zanim dotarł do niej, jego towarzysz wrócił już z plonem do domu. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy przekonał się, że trawa na tej górze jest taka sama jak i na poprzedniej.

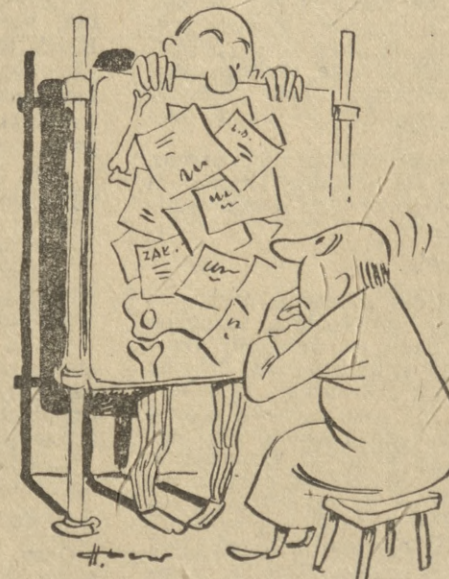
Tak i cały dzień utracił i niepotrzebnie się utrudził.

Jest wielu „ludzi kultury”, którzy ciągle szukają „lepszej trawy”. Może dlatego, że nie mają serca i chęci do codziennej, sumiennej pracy.

(przeł. z ros. J. Eski)

Terenowe placówki służby zdrowia wypełniają w ciągu roku 328 sprawozdań według 123 wzorów, zawierających 26.000.000 zapisów na 550.000 formularzy.

(Z prasy)

PRZEŁADOWANIE ORGANIZMU
NA TŁE SPRAWOZDAWCZYM